



WARTO WIEDZIEĆ

LUDZIE IZBY Z PASJĄ: ARCH. MICHAŁ BAŁASZ, JEDEN Z TRZECH NAJSTARSZYCH W POLSCE, CZYNNYCH ZAWODOWO PROJEKTANTÓW, O KTÓRYM MÓWIĄ „ARCHITEKT PANA BOGA”

Historia pisana wiekiem

Dziewięć, zwieńczonych krzyżami, kopuł wzniesionych z kolorowej cegły i udekorowanych mozaikami. Cerkiew Ikony Matki Bożej „Znak” w Wilnie, zwana potocznie Znamieńską. Albo, trzy kolejno zmniejszające się wieże: nawy, prezbiterium i zaokrąglonej absydy, dające malowniczy efekt spięzienia zabudowy. Kościół św. Jakuba i Filipa z klasztorem Dominikanów – też w Wilnie. Jak dorastając w takim otoczeniu nie zakochać się w architekturze – pyta retorycznie Michał Bałasz.



Fot. Barbara Kłocińska

2014 r.: Michał Bałasz został doceniony przez środowisko architektów. 28 marca podczas Zjazdu Podlaskiej Okręgowej Izby Architektów nagrodzono architekta za całokształt pracy zawodowej. Na zdjęciu (od lewej): Stanisław Łapieński-Piechota – ówczesny przewodniczący Rady PDOiA, Agnieszka Urszula Duda – zastępca przewodniczącego i Michał Bałasz.

Az okien rodzinnego domu, położonego na wysokiej skarpcie rzeki Wilii, Michał Bałasz podziwiał nie tylko w kościołach i cerkwiach. Było to wspaniałe miejsce. Od północy okalała je rzeka, a z południowej strony rozciągała się panorama Wilna. Piękna panorama, z mieszczącą się w Pałacu Tyszkiewiczów Biblioteką im. Eustachego i Emilii Wróblewskich; z kościołem św. Rafała, czy też z górującą nad krajobrazem Górą Giedymina zwaną Górą Zamkową, która – według legendy – jest miejscem założenia miasta. I choć Michał miał wtedy zaledwie kilkanaście lat i uczył się w kupieckim gimnazjum Brad Jabłonowskich, czuł w sobie artystyczną duszę. Lubił rysować. Dziś – mając 90 lat – podkreśla: na przyszły zawód i rozwój człowieka ogromny wpływ ma środowisko. A Michał Bałasz wyrastał wśród polskiej inteligencji.

Ale... zaczniemy od początku. Od dziadka pana Michała ze strony ojca. Wywodził się on z Szemetowszyny, gminy wchodzącej w skład, objętej władzą polską, Ziemi Wileńskiej. Babcia pochodziła z Sulżyńskich, którzy po powstaniu styczniowym nabyli olbrzymią posiadłość pod Turowem. Po ślubie dziadkowie kupili ponad 150-hektarowy majątek na Wileńszczyźnie – Prudniki Jamki. Przylegał on do latyfundiów Platerów i hrabiego Przezdzieckiego, przez rzekę Dziesięnkę sąsiedował z posiadłościami hrabiego Tyszkiewicza. Pierwsza wojna światowa zniszczyła go tak bardzo, że żaden z dwóch synów dziadka, nie wiązał z nim swojej przyszłości.

Cjciec Michała, Jerzy z żoną Heleną z domu Łakimowicz i najstarszym synem Aleksandrem wyjechali do Wilna. Tam w 1924 r. urodził się



2008 r.: Michał Bałasz otrzymał honorową nagrodę im. Stanisława Bukowskiego, przyznaną przez białostocki Oddział SARP.

im drugi syn – właśnie Michał, a za nim przyszły na świat siostry – Weronika i Aleksandra. W domu się nie przelewało. Ojciec, pielęgniarz w szpitalu psychiatrycznym pod Wilnem, zarabiał 117 zł miesięcznie, ale trzeba było opłacić czynsz, dzieci ubrać i nakarmić, wyprawić do szkoły. Na szczęście uczyły się dobrze i o nauce nie trzeba było im przypominać.

Międzywojenne Wilno było tygłem narodowości, religii i kultur. Bałaszowie wynajmowali mieszkanie na Zwierzyńcu, dzielnicy zamieszkałej przez wielu rosyjskich emigrantów. Na ulicach nieraz pojawiał się generał Lucjan Żeligowski, który „samowolnie” przyłączył Wilno do Polski. Generał chodził w Inianym ubraniu, bo moda na len wśród elit była na kresach wówczas powszechna.

Co roku dzieci Bałaszów wakacje spędzały w Kojranach pod Wilnem, w byłym majątku hrabiego Tyszkiewicza, w którym pracował ojciec. Nieistniejący już pałac był piękny, powstał w latach 1850–60. I co niespotykane, cała południowa elewacja wykonana była ze szkła. Tworzyły ją tafle o wym. 5x5 m i gr. 15 mm. Tu odbywały się największe bale i mądre dyskusje. W Kojranach pan Michał poznał członków Akademickiego Klubu Włóczęgów z Wilna, klubu szubrawców – Miłosza, Jędrzychowskiego, Zagórskiego, Sztachelskiego – zbuntowanych młodych ludzi różnych orientacji politycznych.

Z tych czasów pan Michał wspomina zabawną historię. Razem z kolegami opiekowali się chorym bodaniem. Kiedy ptak wyzdrowiał, stał się ich wiernym towarzyszem. Chłopcy chowali się przed nim, a on ich odnajdywał.



Michał Bałasz (z prawej) z bratem Aleksandrem

Raz uciekli do kościoła. Bocian przyleciał za nimi i z radości zaczął klekotać. A w kościele trwało nabożeństwo...

W 1931 r. Wilno nawiedziła straszna powódź. Woda w ich dzielnicy sięgała 170 cm, po pięknym placu katedralnym można było pływać łódkami. Wtedy Piłsudski, który miał dwa majątki na Wileńszczyźnie – Świątniki i Pikiliszki – udostępnił jeden z nich na kolonie dla dzieci. Michał i Aleksander znaleźli się w tej grupie. Tam pan Michał miał okazję osobiście widzieć pana marszałka i jego rodzinę.

Nadszedł rok 1939. Bałaszowie przezornie wyjechali w rodzinne strony, do Prudnik Jarnek, całą rodziną, bo nawet najstarszy brat Aleksander, który rozpoczął studia medyczne we Lwowie, przebywał akurat w domu na wakacjach. Ojciec dostał posadę kierownika szkoły w Starym Dworze. Uczył matematyki i języka niemieckiego. 16-letni Michał dzięki znajomości księgowości przebitkowej, jaką wyniósł z gimnazjum kupieckiego, znalazł pracę w majątku hrabiego Tyszkiewiczów.

Nadchodził rok 1944, Michał razem z kolegami wstąpił do AK. Trafił do kompanii saperko-minerskiej. Szkolono ich jak wysadzać mosty, rozminowywać i zaminowywać teren, organizować przeprawy. Chłopak, który wychował się nad Wilią i dla którego rzeka, jej nurt, tratwa czy łódki nie stanowiły żadnych tajemnic, okazał się bardzo przydatny. Nadciągał front. Drugie zgrupowanie majora Węgielnego (Mieczysława Potockiego), w którym służył Michał, w porozumieniu z dowództwem III Frontu Białoruskiego zostało włączone do walk. Dowódca III Frontu, generał Czerniachowski, nie zawahał się powierzyć ich oddziałom odcinka w rejonie Zielonych Jezior. Musieli zmierzyć się z wojskami desantowymi gen. Stahela, które osłaniały odwrót niemieckich wojsk spod Wilna. To była krwawa, ale zwycięska bitwa.

– Nie możecie stanowić odrębnej siły – zdecydowało po walce radzieckie dowództwo. Internowało polskie oddziały i wysłało

w głąb Rosji, do Kaługi. Tam na peronie przywitała ich radziecka orkiestra, która wygrywała skoczno krakowiaka, bo tylko tyle potrafiła z polskich utworów. Po kilku dniach dostali radzieckie mundury i rozpoczęły ćwiczenia wojskowe. Z okazji rocznicy październikowej rewolucji należało przygotować hasło. Jego wypisaniem zajął się Michał, który miał za sobą przecież lekcje rysunku w Wilnie u prof. Żyngiela. Bukwy stanęły posłusznie, hasło prezentowało się okazale. Sekretarz Prochorow zlecił Michałowi kolejną pracę – malowidło ściennie: Moskwa, Kreml, ciemna noc, salut zwycięstwa... Wybór farb był raczej skromny – mielona cegła, węgiel, sadza. Ale dzieło wyszło jak należy. A ponieważ zdolności plastyczne miał także Stanisław Jasiukiewicz, później znany aktor, wspólnie założyli artystyczny tandem. Malowali nawet portrety radzieckich przywódców, tylko za Stalina nie chcieli się brać. To było zbyt ryzykowne. To wtedy w Kałudze zaprzyjaźnił się z Bernardem Ładyszem, późniejszym śpiewakiem operowym, wówczas obozowym kucharzem, słynnym reżyserem Stanisławem Lenartowiczem, Zygmuntem Kęstowiczem, znanym aktorem, czy dyrygentem Henrykiem Czyżem, z którym po latach spotkał się na studiach w Poznaniu.

W Kałudze cały czas intensywnie ćwiczyli – mieli trafić na front, już w ramach Armii Czerwonej. – Tylko w żadnym przypadku do przysięgi nie przystępować – instruowali starsi stażem partyzanci. I tak zrobili. Gdy odmówili, sowietów ich rozmundurowali i skierowali do wyrębu w lemańskich lasach koło Riazania. To były potężne bory, gdzie tam do nich naszej białowieskiej puszczy. A że Michał znał dobrze rosyjski i podstawy rachunkowości, został bałansistą (księgowym) batalionu. Jedynie on spośród internowanych mógł chodzić do sąsiednich wsi, co prawda pod strażą, ale i tak miał lepiej. Regularnie pobierał też na pocztę pieniądze na wypłaty.

Wojna dobiegła końca. Michał, wciąż internowany, bez przerwy namawiał listownie rodzinę do wyjazdu do Polski, bo – czym pachnie nowy radziecki system – zdążył się już przekonać. – My ujechali w Polskę, naprawienie Poznania – otrzymał w końcu telegram z jedyną wskazówką, gdzie ma ich szukać.

W 1946 r., gdy odzyskał wolność, ruszył w ślad za najbliższymi. Tylko jak ich znaleźć? Urząd w Poznaniu nie prowadził żadnej ewidencji repatriantów. – A jak nazwisko? – zapy-



podpis

tała pani w okienku. – Bałasz? Może lekarz? – Lekarz. Pracuje w pogotowiu. Informacja okazała się prawdziwa, ale spóźniona. Brat Aleksander nie pracował już w pogotowiu, wyjechał na studia do Krakowa. Michał pojechał za nim. W dziekanacie dowiedział się, że brat mieszka na Poselskiej. Poszedł pod wskazany adres. W mundurze angielskim (przed opuszczeniem ZSRR ubrano ich w mundury, które pozostały po armii Andersa), z ruską papachą (czapką) na głowie, ogromnym plecakiem zdobytym na wojsku Stahela musiał wywoływać nie tylko ciekawość, ale i podejrzliwość.

– A pan do kogo? – z okna wychyliła się właścicielka mieszkania. – Szukam brata, studenta – podobno tu mieszka – wytłumaczył. – Nic podobnego, to jakaś pomyłka. Wtedy



podpis

całe miasto oblepił ogłoszeniami, dopiero po dwóch tygodniach znalazł Aleksandra. Mieszkał na Poselskiej, skąd gospodyni odprawiła Michała z kwitkiem. – To przez ten pański mundur i czapkę – tłumaczyła, przepraszając. – Wie pan, tyle jest teraz aresztowań.

Od brata dowiedział się, że rodzice i siostry są w Sulęcinie, w lubuskim. W końcu mógł się z nimi zobaczyć i wrócić do szkoły. Ukończył liceum w Wolsztynie i rozpoczął studia na architekturze, na politechnice w Poznaniu. Ledwie stanął na nogi, a już przy finansowym wsparciu Aleksandra do Poznania ściągnął siostry – Weronikę, która zaczęła studiować rolnictwo i Aleksandrę, która podjęła studia medyczne. Weronika ukończyła swój kierunek, a Aleksandra została pielęgniarką. W Poznaniu poznała studenta medycyny Zdzisława Kwaśniewskiego, wyszła za niego za mąż i już w Białogardzie urodziła syna Aleksandra, przyszłego prezydenta Polski. W rodzinnym albumie pana Michała mamy do wyboru: Aleksander Kwaśniewski w rajstopkach, bez rajstopek... Ola Kwaśniewska naburmuszona, Ola uśmiechnięta... Tak zwyczajnie, jak ma każdy z nas. Ale jakoś dziwnie patrzeć tak na prezydenta... To babcia Helena Bałasz zajmowała się wychowaniem Olka i jego młodszej siostry Sylwii.

Zarówno studia I stopnia w Poznaniu, jak i magisterskie na politechnice w Gdańsku Michał ukończył z wyróżnieniem. Bydgoszcz, Katowice, Białystok – mógł wybierać w ofertach pracy. Wybrał Białystok, bo na wschód dągnęło go zawsze. Był rok 1954. Postarał się o tzw. nakaz pracy w Białymstoku. Pamięta, że niektórzy chcieli zatrzymać go w Zielonej Górze.

– Piszcie do ministra. Tylko on może cofnąć nakaz pracy. Nie pisali i tak jestem tu do dziś – wspomina. – Trochę dzięki rodzicom, którzy po wyjeździe z Wilna mieszkali w Sulęcinie i bardzo tęsknili do Kresów. Zaraz więc, gdy dostałem w Białymstoku mieszkanie, ściągnąłem tu mamę i tatę (Jerzy zaczął śpiewać w dojlidzkim chórze), siostrę Weronikę, potem stryja Aleksandra, cenionego lekarza, który będzie pracować w Fastach. Poza tym przypominam sobie pewną rozmowę z Ryszardem Kapuścińskim, z którym znaliśmy się w latach studenckich. Rysiek pochodził z Polesia, więc miał – jak to się mówi – słowiańską duszę. Powiedział więc pewnego razu: Kolego, nam trzeba na wschód, tam nasze miejsce. Wziąłem to sobie do serca i gdy już skończyłem studia, tam się skierowałem na staż.



podpis



podpis

Zawsze zresztą uważałem się za potomka Wielkiego Księstwa Litewskiego.

W Białymstoku czekał na niego olbrzymi front robót, nie tylko jako architekta miejskiego. Niebawem odnalazł go batiuszka Strokowski. Mówił, że w cerkwi św. Mikołaja danieliby remont przeprowadzić. Razem weszli pod część ołtarzową, było bardzo nisko. W fundamentach tkwiły potężne, ponad dwumetrowe, głazy. Projekt wykonał incognito. Później były kaplice cmentarne w Płoskach i Siderce. Coraz głębiej zapuszczał korzenie w architekturze cerkiewnej.

Na wakacjach często odwiedzali siostrę Aleksandrę, jechali wspólnie gdzieś nad morze. Wszyscy po trochu tęsknili za Wilnem, może dlatego tu, w Białymstoku, pan Michał całej dzielnicy na Dojlidach nadał nazwy

ulic z wileńskiego Zwierzynca: Wiewiórcza, Jelenia, Zajęcza, Rysia... Miały być tymczasowe, zostały do dziś.

Pewnego dnia do jego drzwi zastukał o. Michał Chomczyk. Cerkiew w Starosielcach jest za mała, a tu ani powiększyć, ani wybudować nowej nie pozwalają. Pan Michał obejrzał świątynię. Przed wojną ludzie byli biedni, oszczędzali na materiałach, ściany cerkwi były bardzo cienkie, miały tylko 16 cm grubości. Nie można było ich ruszyć, groziły zawaleniem. Architekt wpadł na pomysł, żeby otoczyć świątynię nową ścianą w kształcie koła, zbliżając się jak najbliżej do jej węglów. Urząd do spraw wyznań na taki remont przystał, a parafianie zyskali dużo więcej miejsca. Zdecydował, aby okrągły budynek przykryć kopułą. Kopuła też musiała być tania. Zlecił więc wykonanie stelażu z drutów, które później obrzucono zaprawą. W ten sposób powstał siatko-beton o gr. zaledwie 6-8 cm. Nie było wtedy ani styropianu, ani wełny mineralnej, więc izolację stanowiły floki – odpady z tkalni w Wasilkowie. Nimi ocieplili kopułę.

– W 1970 r. byłem zaproszony na konferencję, gdzie powiedziano, iż w Parku Skaryszewskim w Warszawie powstaje pierwsza w kraju budowa z zastosowaniem siatko-betonu – mówi pan Michał. – Wstałem wtedy i sprostowałem, że będzie to druga w kraju.

Później były kolejne parafie – powstawały kolejne cerkwie w Kruszynianach, Czarnej Białostockiej czy Czyżach. Projektował – ale też słuchał wskazówek akustyków. Uczył się tego fachu od inżyniera Kirszensztajna z Warszawy, ojca słynnej biegaczki Ireny Szewińskiej. – Ja to dziś muszę wcześniej wyjść, bo córka ma biegi – przyznawał nie raz doświadczony akustyk podczas konsultacji przy budowie Domu Kultury w Kolnie, czy Olecku. Potem wyjechał do Izraela.

Nadszedł rok 1984, początek rekonstrukcji obronnej gotyckiej cerkwi Zwiastowania w Supraślu. Prace co prawda rozpoczął architekt Kuźmienko, ale poprowadził do końca Michał Bałasz. Było to duże wyzwanie, także lekcja cierpliwości i pokory. Rozpoczęła się od uważnej lektury inwentaryzacji sporządzonej przez Pokryszkina w 1911 r. A sama realizacja odkrywała tajemnice XVI-wiecznych budowniczych. – Panie architekcie, woda nas zalala – donieśli mu zaraz na początku prac robotnicy. Okazało się, że drenaż stanowiła potężna sosna czy świerk z wydłubanym sercem, która wodę zebraną wokół fundamentów cerkwi

wyprowadzała do rzeki. A że technikum rolnicze, które korzystało z monasterskich zabudowań, zaczęło właśnie stołówkę budować i w trakcie prac przecięło drzewo, zamykając odpływ, woda cofnęła się do cerkwi. To nie był koniec systemu XXVI-wiecznej hydroizolacji. Między wykopem z gliny a fundamentem budowniczowie położyli warstwę zlasowanego białego wapna. Kiedy wody było więcej, wapno pęczyło i uniemożliwiało dalszy jej przepływ, kiedy wody ubywało – po prostu wysychało. Przeleżało pięćset lat, a rozcierało się w rękach jak masło. A fundament stał. To na nim teraz zrekonstruowali gotyckie mury. Sama cegła też dała się we znaki. Ta oryginalna miała imponujące wymiary: 40x27x12 cm. Przed jej wytworzeniem najpierw długo gnojono glinę, a więc wystawiano na działanie wiatru, mrozu, deszczu. Długo, długo suszono, a dopiero później wypalano i to w piecach opalanych dębinią. Cegielnia w Gozdniczy wobec takiego wyzwania okazała się bezradna – współczesna cegła o takich wymiarach pękała. Trzeba było po trzy dziury w każdej zrobić, a podczas murowania wypełnić je betonem. Cegła się przy tym brudziła, ściany trzeba było czyścić. To nie przyspieszało pracy, tym bardziej, że ekipy zmieniały się dość często.

Równoległe z rekonstrukcją supraskiej ławry Michał Bałasz projektował kolejne prawosławne świątynie – białostockie Hagia Sophię i św. Pantelejmona, cerkiew w Czeremścu, w Bielsku Podlaskim, Boratyńcu Ruskim, Stochach Annopolskich. A potem z uwagą obserwował, jak postępują prace wewnętrzne. Polichromie najczęściej wykonywali ikonopiszczy z Rosji, Białorusi, Ukrainy czy Grecji, którzy sięgali po różne techniki i farby. W Hagia Sophii np. profesor Xenopulosz Salonik zastosował innowacyjne rozwiązanie. Przywiózł gotową polichromię z Grecji, wykonaną na specjalnych siatkach, która wymagała jedynie przyklejenia. Ta metoda, doskonała w terenach zagrożonych trzęsieniem ziemi, sprawdziła się także w naszych warunkach.

Prasa powoli nadawała mu tytuł architekta cerkwi i kościołów, bo projekty także katolickich świątyń wychodziły z jego pracowni. W latach 80. zaproponowano mu zaprojektowanie kolejnego kościoła, na Wysokim Stoczku w Białymstoku. – Niechby przypominał kościoły wileńskie – poprosił nieżyjący już dzisiaj biskup Edward Kisiel. – Może samą katedrę... Biskup Kisiel pochodził z tych samych stron co Bałaszowie, pan Michał dobrze rozumiał jego sentyment, ale z wielu względów był to pomysł nie do przyjęcia. Ale że w tym czasie odrestaurowywał dworek Adama Mickiewicza w Nowogródku, odwiedził swoje rodzinne strony. Zachwycił się byłą cerkwią unicką w Berezwechu. To na niej się wzorował, projektując białostocki kościół.

Coraz bardziej wydłużała się lista zaprojektowanych przez niego świątyń. Doszła cerkiew św. Dymitra w Hajnówce, Częstochowie, Wólce Kraśnickiej, Bończy. Syn od Biskupów kilkakrotnie honorował go orderami św. Marii Magdaleny. Lista kościołów katolickich przekroczyła już 70 pozycji, cerkwi – zbliża się do 50. Uzupełniają ją obiekty świeckie.

Szkoda, że nie ze wszystkimi członkami rodziny mógł się tym cieszyć. Odeszli rodzice, siostra Weronika, stryj Aleksander, brat Aleksander, siostra Aleksandra (Aleksander w ich rodzinie był zawsze wiodącym imieniem). Z jej synem Aleksandrem, nawet podczas jego prezydentury, się spotykał. Bo choć nie przepadał za obowiązującymi kontrolami czy obecnością oficerów BOR-u, kilkakrotnie skorzystał z zaproszenia, by powiedzieć Olkowi co u niego słyszał, nad czym obecnie pracuje.

Bo mimo swych 90 lat pracuje nieustannie. A o swoich projektach mówi:

– Staram się po sobie zostawić jakiś ślad. Każdy obiekt jest bardzo ważny bez względu na to czy jest to duży kościół, czy mały przystanek przydrożny. Zazdroszczę starym architektom, dziś architektka unika na budowie. Projekty są często bez duszy, bo zbyt dużo w nich „komputera”.

BARBARA KLEM

NA PODSTAWIE ARTYKUŁU ALEXY MATREŃCZYK „ŚLAD ARCHITEKTA”

Z PRZEGŁADU PRAWOSŁAWNEGO NR 1/2008

ZDJĘCIA ARCHIWALNE POCHODZĄ Z ALBUMU RODZINNEGO MICHAŁA BAŁASZA